

## LEGENDY ZAMKU EŁCKIEGO

Copyright © by Dawid Jung (tekst)  
Ilustracje na wolnych licencjach  
Copyright © for this cover design by Dawid Jung  
Ełk 2021

Wydanie I  
E-book printed in Poland  
ISBN 978-83-62947-67-6

Wydawca:



*Legandy zamku ełckiego*  
ukazały się w ramach stypendium artystycznego  
Prezydenta Miasta Ełku



# LEGENDY ZAMKU EŁCKIEGO

(z kolorówką dla dzieci)

## Wstęp

„Każda legenda to wdowa po plotce, wolno obrasta ją czas...” – te słowa, napisane w innej książce przy okazji zebrania przeze mnie niepublikowanych legend wielkopolskich, są aktualne również w odniesieniu do legend mazurskiego Ełku.

O ile w Wielkopolsce wciąż żywa bywa pamięć o legendach, krążących w ustnych przekazach z pokolenia na pokolenie, o tyle Mazurzy mieszkający w Ełku już od I poł. XIX wieku ocalali swoje legendarne historie, opowieści, nierzadko z pogranicza baśniowości, drukując je w lokalnej prasie, zawsze z moralizatorskim zakończeniem, aby zarówno dzieci oraz ich rodzice pamiętali, że nic tak w życiu nie uszlachetnia jak miłość i dobroć, bez względu na społeczny status lub zamożność.

Ełcki świat legend związany bezpośrednio lub pośrednio z historią zamku, najwspanialszą obecnie perłą średniowiecznej architektury miasta, przechował w zbiorowej pamięci dawnych Mazurów wyjątkową tożsamość miasta, w którym nie tylko mieszkańcy ale również goście, często przybywający z dalekich stron, zawsze musieli wykazać się nieprzeciętną inteligencją lub talentem, czasem sprytem.

Język dziewiętnastowiecznych ełckich opowieści (okrutność lub dosadność były na codziennym porządku) należało adaptować nieco do współczesności, szanując przy tym fabułę, dziedzictwo wyobraźni dawnych Ełczanek i Ełczan, którzy przy kominku, w chłodne jesienne i zimowe dni snuli echa minionych historii.

W legendach ełckich pobrzmiewa czasem prawda, jak choćby w opowieści „O ełckiej mleczarce”, z pozoru banalnej historyjce, która nawet obecnie stanowi niemałą sensację, nie tylko kulinarną, potwierdzoną historycznie w 1844 r., iż to właśnie Mazurzy pasteryzowali mleko na długo zanim ten proces odkrył i opisał... Pasteur!

Legenda „O ełckim kupcu” najbliższa jest natomiast pierwo-

wzorowi. Dawniej ta opowieść była niezwykle wiarygodna, nie inny był los samotnych wdów i sierot, ale nawet dzisiaj, przesłanie ełckiej wrażliwości nie traci nic na swojej wartości: zawsze należy być dobrym, bo krzywda wyrządzona innym prędzej czy później do nas wróci, i to w najmniej spodziewanym momencie życia.

Podobne przesłanie zawiera legenda „O ełckim wróżbicie”, i chociaż stanowi fabularny „import literacki” z dawnej Wielkopolski, w odświeżeniu ełckiej zyskuje znacznie większą atrakcyjność i autentyczność. Pokrewną autentyczność posiada inna legenda ełcka, „O przekłętym armacie”, która jest ciekawym wspomnieniem dawnych bojów o zamek i miasto Ełk, jednak puenta z tej opowieści musi nawet nas współczesnych skłonić do chwili refleksji oraz zadumy.

Natomiast w ostatniej legendzie, opartej na prawdziwych wydarzeniach, które rozegrały się w XVIII wieku, niejaki Bartłomiejczyk został hojnie obdarzony złotem przez los, o czym bez wątpienia plotkowano niegdyś w całym Ełku i okolicy przez dziesięciolecia...

\*\*\*

W tym miejscu pragnę podziękować Prezydentowi Miasta Ełk, Komisji Stypendialnej oraz pracownikom Ełckiego Centrum Kultury w Ełku za możliwość realizacji projektu „Legendy zamku ełckiego”.

Po „Ostatnich rybałtach polszczyzny...”, gdy badałem twórczość oraz biografie dziewiętnastowiecznych poetów ludowych związanych z Ełkiem, świat ełckich legend jest równie fascynujący i piękny. Mam tylko nadzieję, iż tych kilka odnalezionych i adaptowanych literacko opowieści wejdzie już na stałe do kanonu literatury Ełku, jako część wspaniałego dziedzictwa kultury mazurskiej.

*Dawid Jung*



## O ełckiej mleczarce

Dawno, dawno temu, może w roku 1459, gdy polskie wojska zaciężne zdobyły zamek, wraz z rycerzami do Ełku licznie przybyły również kobiety: kucharki, szwaczki, foluszniczki (czyścicielki ubrań), łyżkarki (robiły z drewna łyżeczki oraz długie łyżki zwane warzechami), sitarki (wypłatały sita z wikliny), była wśród nich również młoda mleczarka imieniem Nawojka, którą zwano także Śpionszką.

Do codziennych obowiązków Nawojki należało przygotowywanie na śniadanie mleka z miodem dla rycerzy oraz czeladzi zamkowej. Niestety, już po kilku godzinach, szczególnie w gorące letnie dni, mleko kwaśniało, stając się niezdatne do picia.

Nadeszła jesień. Pewnego dnia Nawojka, zmęczona pracą, zasnęła przy piecu. Dziewczynę obudziły jednak po dłuższej chwili krzyki kucharki, że mleko wykopiało z garnka, a smród spalenizny unosi się w całym zamku. Za karę kucharka kazała przez całą noc Nawojce sprzątać kuchnię i piwnicę zamkową.

Nazajutrz, Nawojka, jeszcze bardziej zmęczona niż poprzednio, chciała chwilkę się zdrzemnąć, jednak bojąc się, że mleko znowu znacznie kipieć, zaczęła rozmyślać:

- *Co tutaj zrobić? A może zamiast mleka do garnka naleję wody, a do wody włożę gliniany kufel pełen mleka? Może wtedy mleko nie wykipi, a ja będę miała spokój...*

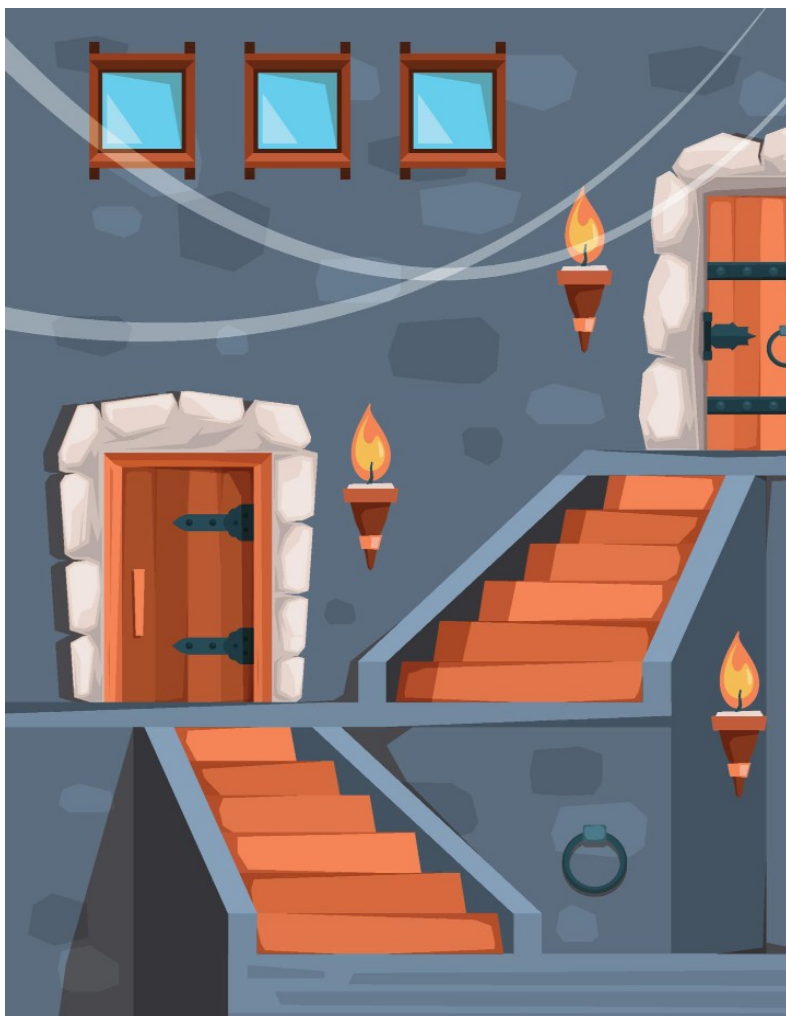
Jak pomyślała, tak zrobiła. Po chwili zasnęła.







I znowu, jak ostatnio, Nawojkę obudziły krzyki kucharki, bo mleko wraz z wodą wylało się na piec i odór spalenizny wyczuwalny był w całym zamku. Nawojka za karę otrzymała po raz kolejny całonocne sprzątanie kuchni, zamkowych piwnic i krużganków.



Nadszedł kolejny dzień. Nawojka staniała się ze zmęczenia, oczy same kleiły się do snu. Zaczęła rozmyślać jak ostatnio:

- *Co tutaj zrobić? A może zamiast mleka do garnka naleję wody, a do wody włożę gliniany kufel pełen mleka? Tylko tym razem kufel szczelnie zamknę na górze. Wtedy mleko na pewno nie wykipi, a ja będę miała spokój...*

Jak pomyślała, tak zrobiła. Jakież było jej zdziwienie gdy obudziła się, a szczelny kufel z mlekiem w garncu nawet nie uрониł kropelki mleka. Uradowana Nawojka zrobiła w ten sposób kilkanaście kufli na zapas, aby nie trudzić się więcej. A szczelne kufle z mlekiem schowała pod schody.

I zdarzyło się w tym samym czasie wielkie nieszczęście. Wrogie wojska otoczyły miasto i cała ludność schroniła się w zamku. Z każdą godziną ubywało strzał do obrony oraz żywności. Mijały dni, a wróg wciąż oblegał zamkowe mury.

W kuchni nie było już mięsa, jajek oraz mleka, dzieci mieszczańskie zaczęły odczuwać głód. Nawet rycerzom zrobiło się przykro, słysząc płacz niemowląt.

Nawojka usiadła na progu kuchni, płacząc nad losem obrońców. Zaczęła znowu rozmyślać:

- *Co tutaj zrobić? Zaraz, a kufle z mlekiem? Pewnie już dawno się skwasilo... To musiałyby być jakiś cud...*

Westchnęła dziewczyna. Po chwili przyniosła pierwszy kufel z mlekiem do matek trzymających w ramionach głodne dzieci.

- Proszę – powiedziała Nawojka – chociaż tyle mogę zrobić...



Jakież było wszystkich zdziwienie, gdy mleko sprzed kilku miesięcy wciąż było świeże i pachnące! Krzyczano:

- Cud! Cud prawdziwy! Opatrzność daje nam znaki, nie umrą z głodu nasze dzieci! - cieszyły się matki.

Wydarzenie to poruszyło cały zamek i wlało w serca rycerzy odwagę, którzy nie tylko obronili warownię, ale i ruszyli na wroga, odpierając kolejne ataki.

Po wygranej bitwie Nawojce kazano raz jeszcze przyrządzić mleko według jej sposobu. I od tamtych pamiętnych dni gotują mleko po ełcku, aż zwyczaj ten przejęli wszyscy Mazurzy.

I nawet w 1844 roku, zanim dnia 20 kwietnia 1862 roku Louis Pasteur i Claud Bernard dokonali pierwszej próby pasteryzacji na świecie, w Ełku gazeta wydawana po polsku „Przyjaciół ludu...” radziła, jak „mleko przez lat kilka „świeżem zachować”:

*Napełń flaszkę świeżem mlekiem, zatknij je dobrze i warz [doprowadzając do wrzenia] je kwadrans (ćwierć godziny), za lat kilka takimże świeżem je znajdziesz jakby dzisiaj dojone było<sup>1</sup>.*

Ponoć, jak mówią dobrzy ludzie, gdy na ełckiej promenadzie stanie figura mleczarki Nawojki, Ełk znów stanie się miastem mlekiem i miodem płynącym...

---

<sup>1</sup> Zob. „Przyjaciół ludu...”, nr 1, styczeń 1844, s. 7.



## O ełckim kupcu

Dawno, dawno temu, Janek, syn zamkowego pasterza, codziennie wypasał na podzamczu bydło. W małym stadku znajdowała się również chudziutka krówka pewnej ubogiej wdowy, której mąż przed laty był na zamku kowalem.

Wdowa utrzymywała siebie oraz troje swoich dzieci wyłącznie dzięki chudej krówce, z której mleka wdowa robiła słynące w całym Ełku najsmaczniejsze sery oraz masło, chętnie kupowane nawet przez ełckich rajców.

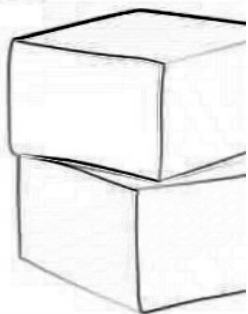
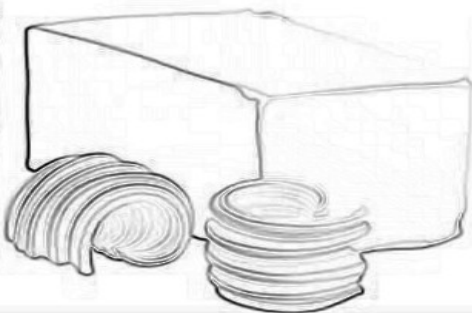
Ze względu na ubóstwo, wdowie nie zostawał choćby grosz, aby móc opłacić zamkowego pasterza, który doglądał jej jedyne go dobytku.

Dobrotliwemu Jankowi nawet to nie przeszkadzało, że swoją pracę wykonuje dla wdowy za darmo, jednak ojciec chłopca wciąż mu powtarzał, iż wdowa, choć uboga, płacić za wypas musi, bo inaczej doniesie zamkowemu zarządcy, a ten na pewno wtrąci wdowę z dziećmi do ełckiego lochu. I tak oto, powstało słynne w Ełku i okolicy powiedzonko: „Oby pomsta cię porwała”, bo ojciec Janka wszem i wobec rozgłaszał, że wdowa, choć biedna, płacić musi!

Razu pewnego, gdy Janek zamkowe bydło wypasał, zauważywszy wdowią krówkę podjadającą trawę na podzamczu, zaczął w nią rzucać kamieniami i krzyczeć, jak mu ojciec kazał: „Oby pomsta cię porwała!”.

Sploszona krówka, chcąc uciec przed gniewem pastuszka, nieszczęśliwie wpadła w okoliczne błota i utonęła.

Ucieszył się Janek, że woli ojca posłuchał, bo wreszcie spokój mieć będzie z biedną wdową.





Nie minęło jednak dni kilka, jak wdowie z głodu umarły dzieci, a ona sama musiała pójść w świat, żebrząc u dobrych ludzi o chleb. Niebawem i ona sama straciła życie ze zgrzyoty i biedy.

Mijały lata. Janek w tym czasie, dzięki pracy w kupiectwie, wyrósł na zamożnego człowieka i całkowicie zapomniał o ubogiej wdowie, jej dzieciach i krówce. Dorobił się nawet, jak na zaradnego handlowca przystało, okazałego domu przy miejskim rynku.

Nie Janek, lecz teraz pan Jan, cieszył się w Ełku wielkim szacunkiem, bo z Gdańska sprowadzał do miasta najdroższe jedwabie i drogocenne perfumy.

I stała się rzecz niebywała. Gdy w drodze z Ełku do portowego Gdańska Jan już z oddali widział mury towarowego spichlerza, zastała go tęga burza, tak, iż konie mu się wszystkie spłoszyły i szukać musiał ratunku w ruinach opuszczonego budynku, który niegdyś był latarnią morską.



Po kilku godzinach, zmęczony i przemoczony do ostatniej niteczki ęłcki kupiec zasnął. Nagle, ku wielkiemu przerażeniu, obudzili go piraci, którzy w ruinach dawnej latarni morskiej mieli swoją tajną siedzibę. Na nic prośby o ratunek – piraci chcą karać Jana śmiercią, aby nie wydał ich kryjówki. Dopiero przekupieni, zbójnicy godzą się, aby Jan został ocalony.

Nadeszła noc, wszyscy poszli spać, aż tu nagle, nad ranem, rozległy się wrzaski i krzyki. To żołnierze z Gdańska otoczyli ruiny, by pojmać wszystkich piratów.

Na nic zdały się zapewnienia Jana, że nie należy do bandy zbójców, na nic płacz i zaklinanie, że jest kupcem z Ełku, synem zamkowego pasterza. Wszystkich pojmanyh zakuto w kajdany i wtrącono do zimnego lochu, by czekali na wyrok gdańskiego sądu.

Jan z Ełku, wiedząc, że czeka go niechybna śmierć, bo piraci zeznali, że jet jednym z nich i nikt mu wiary już o niewinności nie dawał, poprosił o księdza, aby móc się chociaż wyspowiadać.

Nazajutrz przybył do więzienia młody spowiednik, zrozpaczonemu Janowi zadał tylko jedno pytanie: „Jak myślisz, dlaczego tutaj jesteś, a może kiedyś wyrządziłeś komuś wielką krzywdę i teraz spotyka cię zasłużona kara?”

Jan upadł na podłogę i zapłakał, przypomniał sobie biedną wdowę z Ełku i jej dzieci, które przez jego młodzieńczą złośliwość straciły życie. Pogodzony z losem, ostatni raz się pomodlił, bo następnego dnia na gdańskim rynku miał odbyć się proces jego i wszystkich złapanych korsarzy.



Jakież było zdziwienie Jana, gdy następnego dnia na ławie sędziów spostrzegł owego spowiednika, który przewodniczył rozprawie. Szczęśliwie dla Jana – został on uniewinniony, z zastrzeżeniem, aby przemyślał swoje dotychczasowe życie i wszelkim winom zadośćuczynił.

Jan, gdy tylko wrócił do Ełku, natychmiast rozdał część swego majątku ełckim wdowom oraz ufundował opodal zamku, gdzie niegdyś pasał krowy, budowę wielkiego krzyża, który odtąd zwano „Wdowim krzyżem”.

Ponoć każde dziecko, które się pod nim modliło, nigdy nie zostało sierotą, ciesząc się szczęśliwym dzieciństwem.

## O ełckim wróżbicie

Dawno, dawno temu, sprytny żebrak z Leszna przewiskiem Świercz, który sztuką dziadowską zabawiał dostojników i możnych mieszczan pod ratuszem w Ełku, przez całe swoje życie marzył o wielkim bogactwie.

Choć licha była jego odzież, a jeszcze nędzniejszy pokarm który spożywał, cieszył się Świercz i z najpodlejszego kawałka śniadego i spleśniałego chleba, nie mówiąc już o kęsie sera lub masła, które jadł tylko w okolicach zniw, gdy najmował się okazjonalnie do pracy. W mieście Ełku powiadali mieszczanie, że większego łasucha nad Świercza nigdy u nich nie było, bo gdy dziad proszalny zajadał przypadkiem tłusty kawałek mięsa, jego zadowolenie granic nie miało – z radości słyszano nawet jak głośno śpiewa, chwając zgnuszenie oraz sytość podniebienia.

Często ełczanie przy ratuszu słyszeli także, jak Świercz pogrążony w ciamkaniu chleba, z nieludzkim wręcz charczeniem, sarkał na przechodniów:

- Och, chętnie bym poniósł najsroźsze kary, a nawet i to nędzne położył życie, gdyby mi ktokolwiek przez trzy dni przynajmniej przyzwolił doznać wszystkich rozkoszy jadła i trunków z pańskiego stołu!

I zdarzyło się razu pewnego, że po całodziennym dniu zebrany, Świercz zaszedł zmęczony do podzamkowej karczmy. A tam, jak co dzień, muzyka, weselnicy i zamkowi kuglarze rozprawiali między sobą, iż żona zarządcy zamku ełckiego, najzaciejsza z wszystkich dam, zgubiła niedawno bardzo kosztowny, brylantowy pierścień, i że znaczną obiecała nagrodę temu, kto by go odnalazł.



Głodomór Świercz nie namyślał się ani chwili, i wpadł na chytry pomysł. *Udam wróżbitę – pomyślał – wielkiego maga i wieszczka, powiem, że potrafię znaleźć pierścień, wszak pod tym jednak warunkiem, aby mi przez trzy dni najwyborniejszych potraw i napojów używać pozwolono. I nawet jeśli po trzech dniach wyda się moje szalbierstwo, trudno, zasłużoną karę gotowy jestem ponieść. Warto pocierpieć dla takiej rozkoszy podniebienia!*

Jak tylko pomyślał, natychmiast zaczął działać, więc czym prędzej rzekł do zamkowych dworzan:

- Jam słynny wróżbita, największy mag Europy, co w szatach obdartych wyśmiewa cały zbytek świata i tylko spleśniały chleb jada. Odnajdę dla was ten bezcenny pierścień, najpierw jednak przez trzy dni, na pokrzepienie ciała mego, przy stole pańskim ugoszczonym być muszę!

Zdziwieni dworzanie zamkowi czym prędzej zaprowadzili udawanego maga przed oblicze najjaśniejszej pani, żony zarządcy zamkowego. Ta, wysłuchawszy raz jeszcze przechwałek Świercza, przyklasnęła tylko z radości, bo pierścień z wielkim brylantem był najcenniejszym prezentem od jej męża, który od wielu już tygodni walczył z innymi rycerzami na wojnie.

Fałszywy wróżbita nie mógł uwierzyć, że los tak hojnie go obdarował, nie tylko przyodzieniem w najdostojniejsze szaty szlachcica, ale i najwytrawniejszymi potrawami oraz napojami ze stołu pańskiego, w życiu nie widział tak wiele jadła naraz, a były tam słynne na całym świecie ętckie smakołyki: pieczone łabędzie nadziewane wędzonymi malinami i śliwkami bez pestek, zapiekane w liściach chrzanowych szczupaki faszerowane kandyzowanym dereniem i owocem

dzikiej róży, smażone kiełbaski z dzikim czosnkiem i cebulką podane w gęstym żurze z gęsiami jajkami, kaszka manna na koziej śmietance zalana miodem i syropem jagodowo-jeżynowym oraz wina z burgundzkich stron i słodkie tokaje z królestwa Węgier. A to tylko na ełckim zamku podano dnia pierwszego! Świercz bardzo żałował, że ma tylko jeden, drugi i trzeci dzień dostatniego życia.

Oprócz jadła, Świercz miał do osobistej dyspozycji aż trzech służących, którzy mieli spełniać, wedle życzenia jaśnie pani, wszystkie zachcianki łasego wróżbity.

Służący w kuchni nie mogli nadziwić się, że jeden człowiek może sam zjeść tak wielką ilość pokarmów, gdzie on to mieści, a może naprawdę jest wielkim magiem i sprawia, że wszystko to znika w jego ustach, a on wciąż jest głodny i ma pusty brzuch?

I stało się, że tego samego dnia jeden z trzech przydzielonych sług pochwalił się w kuchni pozostałym przyjaciołom, iż to nie kto inny jak właśnie on w zamkowym ogrodzie różanym znalazł ów bezcenny złoty pierścień z brylantem, ale nie chce go oddać jaśnie pani, tylko, jak sprawa przychodzi, sprzeda drogocenny klejnot na ełckim jarmarku, a groszem podzieli się ze swoimi kamratami. Ci nie namyślali się długo i wspólnie ustalili, że złodziejski plan wcielą w życie, a ewentualną winą, jeśli intryga się wyda, obarczą żarłocznego maga.

Tymczasem fałszywy wróżbita Świercz kończył już dojadać słodką kaszkę, gdy wszedł pierwszy ze sług i zapytał: - Czy jaśnie wielmożny pan czegoś sobie jeszcze życzy?





Wróżbita spojrział tylko na sługę i zasmucony, że kończy się dzień pierwszy jego uczty, odrzekł:

- Bogu dzięki, to już jeden!

Przestraszony sługa, sądząc, że te słowa wróżbita kieruje do niego, natychmiast pobiegł do kuchni, by poinformować pozostałych, że sprawa kradzieży pierścienia chyba się wydała, bo wróżbita pierwszego już ze służących jako podejrzanego wymienił. Zatrwożyli się pozostali, postanowili jednak zaczekać jeszcze trochę, bo może pierwszy sługa źle usłyszał i nie jego podejrzewa wróżbita.

Nadszedł dzień drugi. Ach, cóż to była za uczta, rozkosz podniebienia. I tym razem podano słynne na całym świecie ełckie smakołyki: pieczony ogon bobra w panierce z łuskanych orzeszków leszczynowych, polany sosem z drobno siekanym korniszonem w śmietanie, następnie przyniesiono gotowany karczek dzika w sosie mięsowo-grzybowym, ełckie pierożki nadziewane kaszą ze skwarkami i boczkiem, na popitkę kwaśne mleko, a po uczcie, na trawienie, dodatkowo garniec miodu pitnego i baryłeczkę ciemnego piwa warzonego na ełckim chmielu. Widząc to wszystko drugi sługa aż zaniemówił ze zdziwienia, gdzie ten mag zmieścił tyle jadła? Zdziwiony na odchodne spytał Świercza:

- Panie, czy coś może jeszcze podać?

Udawany wróżbita spojrział tylko przenikliwym wzrokiem na lokaja, aż temu ugięły się nogi. Świercz ze smutkiem westchnął i cicho wyszeptał, bo mijał właśnie kolejny dzień jego wielkiego szczęścia:

- Chwała Bogu, to już i drugi...

Drugi sługa pełen trwogi natychmiast zbiegł do kuchni, gdzie zrozpaczony, że i jego wielki mag rozpoznał jako członka spisku i winnego, zaklinał pozostałych, aby pierścień jednak zwrócić właścicielce.

- Oj nie, drodzy kamratkowie, przesadzacie, ten człowiek to zwykły głodomór i łgarz, zachowajmy spokój – rzekł trzeci sługa, najodważniejszy – poczekajmy jeszcze dzień ostatni.

I nadszedł dzień trzeci. A i tym razem na stół Świerczowi przyniesiono słynące w świecie ełckie przysmaki: szynkę zubra gotowaną w białym winie z dodatkiem owoców głogu, zupę brzoskwiniową utartą na indyczych żółtkach ze szczyptą drogocennego szafranu, a na deser podano uprażone płatki orzecha włoskiego w miodzie różanym i kwas chlebowy z syropem sosnowym. Trzeci ze sług tylko patrzył jak Świercz wielkimi kęsami pożera potrawę, nie mogąc wyjść z podziwu, gdzie jeden człowiek może zmieścić aż tyle jadła? Po chwili konsternacji trzeci sługa zapytał:

- Dostojny panie, czy życzysz sobie jeszcze czegoś?

Fałszywy wróżbita tylko poklepał się po pełnym brzuchu. Wiedząc, że to już ostatni dzień i trzeba szykować się na nieuchronne, rzekł tylko smutnie:

- Otóż to już i trzeci... Oj, za taką zuchwałość będzie sroga kara, już tam kat ciężki topór ostrzy...

Przerażony trzeci sługa myśląc, że te słowa Świercz skierował do niego, wybiegł tylko w popłochu z komnaty wprost do kuchni.

- Ach, kamratkowie – szeptał spanikowany – mieliście rację, to jednak potężny mag, tylko spojrział na mnie i już wiedział, że to myśmy ten pierścień znaleźli i oddać go nie chcieliśmy, za co pani dobrodziejka za karę pośle nas katu do pocięcia!



Naradziwszy się po chwili postanowili, że wspólnie pójdą do Świercza. Trzej słudzy padli przed nim na kolana i błagając o życie pokazali mu znaleziony pierścień, prosili także, by ich nie wydał i na tortury okrutne nie skazywał.

Świercz, gdy tylko słudzy wyszli z zamkowej komnaty, podumał dłuższą chwilę. *Cudownie* – pomyślał – *nie wszystko stracone! Tylko jak przekonać panią, że to ja ten pierścień znalazłem?*

Myślał całą noc, bo pokoju w baszcie opuszczać nie mógł, a po korytarzach i gankach krzątało się wielu rycerzy z zamkowej straży.

No cóż, Świerczu, jednak dzisiaj zginiesz – wzdychał do siebie nad ranem nieborak – a co mi tam, otworzę okno, niech chociaż ostatni raz w życiu pooddycham ęłckim powietrzem...

Z okna baszty zamkowej roztaczał się wspaniały widok na jezioro i zamkowy ogród. I nagle Świercz spostrzegł srokę.

- Cud! Może jeszcze ocalę skórę! – Świercz prawie pisał ze szczęścia i natychmiast na parapecie postawił błyszczący pierścień, a sam schował się za kotarę, by móc obserwować rozwój wydarzeń. Po krótkiej chwili, zwabiona złotym blaskiem, sroka pierścień pochwyciła w dzióbek i wróciła do swojego gniazda.

Tymczasem z oddali było słychać już rycerzy maszerujących w zbroi, z mieczami i tarczami, którzy przyszli po Świercza.

- Wielki magu, nasza pani chce cię natychmiast widzieć! Ale jeśli nie będziesz wiedział gdzie jest pierścień, skończysz w ęłckim jeziorze! - rzekł głośno jeden z rycerzy.



Wróżbitę zaprowadzono przed oblicze pani do największej sali zamkowej, pełnej już gości oraz ciekawskich mieszczan ełckich, którzy już od kilku dni chcieli się dowiedzieć prawdy, czy Świerz, jak twierdzi, jest wielkim magiem i zna przeszłość oraz przyszłość, czy raczej jest zwykłym oszustem, który poniesie zasłużoną karę. Od plotek huczało całe miasto.

- No, magu, nadeszła twoja godzina. Zgodnie z umową jadłeś nasze najlepsze ełckie potrawy, piłeś nasze najlepsze ełckie trunki. Teraz twoja kolej, gdzie ten pierścień z brylantem, który otrzymałam od męża? - spytała nieco zniecierpliwiona żona zarządcy zamkowego.

- Moja pani – odpowiedział Świerz – lepszego jadła jak w Ełku, nigdzie nie uświadczyłem, a byłem już prawie wszędzie, przeto i ja odwdzięczę się za twoje złote serce złotym pierścieniem. Jako największy wróżbita Europy, przepowiadam – pierścień rzeczywiście został skradziony! I ja jedyny z wszystkich tutaj zebranych znam winowajcę!

Gdy tylko Świerz skończył przemowę, w sali ludzie zaczęli szeptać, dopypywać, któż to mógł ośmielić się, aby okradać panią zamku ełckiego?

Świerz raz jeszcze przeszedł się po sali, zatrzymał się dopiero przy trzech sługach, którzy prawie mdleli ze strachu, ale po chwili odszedł od nich.

Pani – zaczął znowu Świerz wskazując palcem – złodziejką jest chciwa srocza, tam w ogrodzie zamkowym ma gniazdo, w nim znajdziesz swój skarb!

Teraz wróżbita nie krył tryumfu, a z wielkiej sali rozległy się gromkie brawa tłumów w chwilę po tym, jak chłopiec stajenny wspiął się na pokazane przez Świercza drzewo i

przyniósł złoty pierścień z brylantem, którego poszukiwano od dawna w całym Ełku. Zdziwienia oraz radości zebranych nie było końca, a pani z dumą pokazywała ów piękny pierścień na swojej dłoni.

I choć od tego dnia Świercz w nagrodę od pani otrzymał posadę zamkowego astrologa, za punkt honoru postanowił sobie, aby już nigdy nie być łakomym oraz nikogo w życiu nie okłamać. A nieuczciwi słudzy zamkowi, bojąc się konsekwencji za próbę przywłaszczenia pierścienia, przy najbliższej okazji uciekli z Ełku w daleki świat i wszelki słuch po nich zaginął.





## O przeklętej armacie

Dawno, dawno temu, gdy królem Polski był Zygmunt I Stary, wojska polskie przybyły oblegać zamek opanowany przez krzyżaków.

Polacy przed bitwą rozbili obóz niedaleko miasta. Oprócz setek zbrojnych, konnych, do Ełku przywieziono także największą w całym królestwie armatę. Odlewał ją sam mistrz odlewników z Krakowa. Wielka armata była ciężka, a koniec jej lufy wieńczył ogromny, pozłacany łeb lwa. Za każdym razem gdy oddawano z niej wystrzał w stronę wroga, armata wydobywała z siebie potężny ryk, przypominający ryk rozjuszonego lwa podczas polowania.

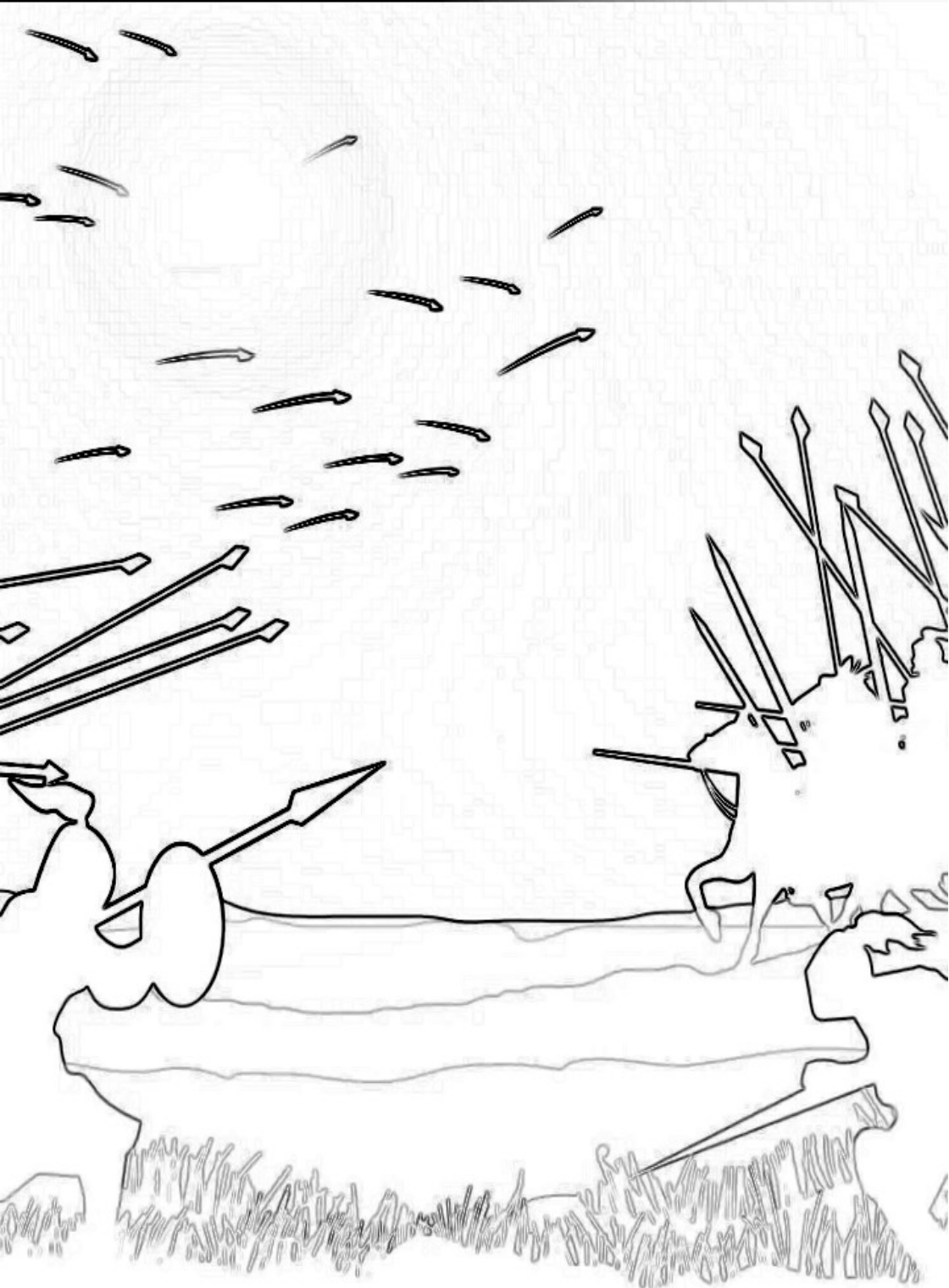
Polacy byli pewni swojego zwycięstwa, przed taką armatą umykały w popłochu armie, a jeden strzał kruszył nawet najgrubsze mury zamków.

I wydarzyło się wielkie nieszczęście. Gdy polskie wojska odpoczywały w obozie po długim marszu, załoga zamkowa przeprowadziła niespodziewany szturm od strony łądu i jeziora. Z długich łodzi wróg oddawał salwy z hakownic, wokół było pełno dymu i rannych.

Dowódca Polaków widząc, że nie uda się uruchomić wielkiej armaty i może ona trafić w ręce nieprzyjaciół, polecił natychmiast stoczyć ją ze wzniesienia w głęboką kipieli jeziora, aby armata utonęła. Zanim jednak lwia głowa z armaty nabrała wody, dowódca krzyknął:

- Niech ta armata będzie przeklęta i nigdy nie odda strzału w stronę Polski!

Po stoczonym bitwie załoga zamkowa wróciła do zamku i podzamcza, Polacy natomiast wrócili do Mazowsza.





I stała się rzecz niebywała. Wielokrotnie szukano w wodach pobliskiego jeziora wielkiego działa ze złotą grzywą i paszczą ryczącego lwa, jednak do tej pory armaty nie odnaleziono.

Ponoć, jak mówią dobrzy ludzie, przeklęta armata z głębi jeziora wyda jeszcze z siebie ostatni ryk, ale wydarzyć się to ma na miesiąc przed końcem świata, aby wszystkie Ełczanki i Ełczanie zdążyli jeszcze naprawić swoje życie.

## O uczciwym Bartłomiejczyku

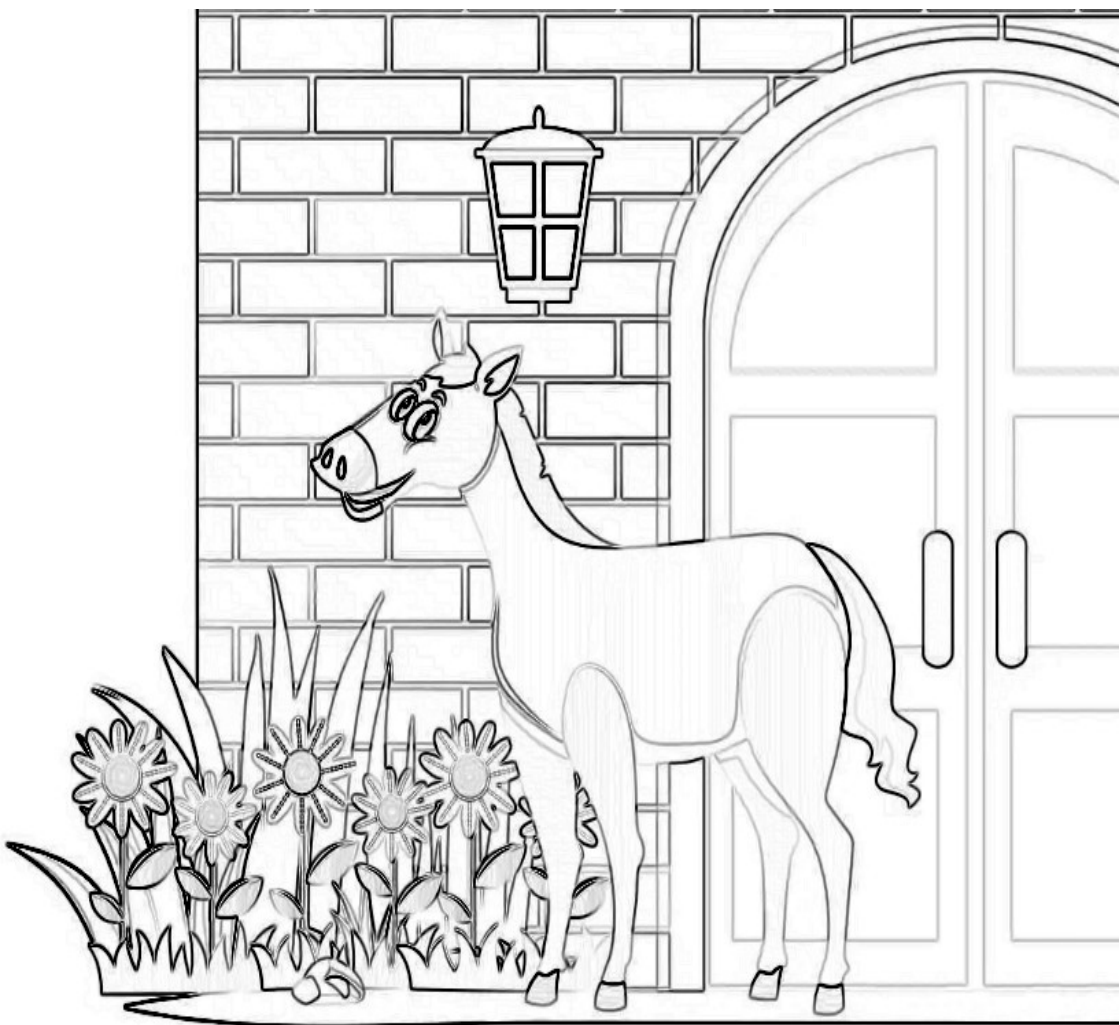
Dawno, dawno temu, w podeńckiej wsi Prostki mieszkał niezamożny gospodarz, którego wszyscy zwali Bartłomiejczykiem. Był to człowiek pracowity i słynący w całej okolicy z uczciwości. Bartłomiejczyk miał żonę Annę oraz jedyną córkę, Judytę, dziewczynę o cudownej urodzie. Wieść o pięknej Judycie niebawem dotarła aż do samego Ełku, stąd przybywali w konkury zacni kawalerowie, lecz wybredna Judyta postanowiła wyjść za mąż tylko za tego, kto ma serce czyste i jest równie pracowity oraz uczciwy jak jej ojciec.

I zdarzyło się szczęśliwie, że niebawem poznała chłopca, w którym się zakochała. Młodzi ustalili swoje wesele na pierwszy piątek po świętym Marcynie.

Dawnym, staropolskim zwyczajem za wesele panny młodej płacił ojciec. Lecz, niestety, jak to w życiu bywa, Bartłomiejczyk rozpozyczył po znajomych trochę talarów, a ci ani myśleli oddać pieniądze na czas.

- Co tu poradzić? – zapytał zrozpaczony Bartłomiejczyk swojej żony.
- Mężu drogi, nie ma wyjścia, trzeba sprzedać na zamku ełckim nasz jedyny majątek... – westchnęła Anna.
- O czym mówisz żono? - dopytywał Bartłomiejczyk.
- A nie pamiętasz, jak zarządca zamku ełckiego chciał od ciebie kupić konia? I jak powtarzał, że Ty tego konia marnujesz, bo on nie nadaje się do prac w polu, lecz do szlacheckiej jazdy po Ełku, bo dostojniejszego konia ponoć w całych Prusach, Polsce i na Litwie dotąd nie widziano... – przekonywała Anna.





- Kochanie! - krzyknął Bartłomiejczyk – Przecież ten koń to jedyne co mamy! Jak mam go sprzedać, ogiera czystej krwi husarskiej, dumę Mazur! Mój ojciec hodował husary, i mój dziad, i ojciec dziada mego, i tak od kilku pokoleń te konie w naszym rodzie były, to tak, żono, jakbym Ciebie lub Judytę sprzedawał, członków rodziny! – rozpaczał Bartłomiejczyk.
- Mężu drogi, rozumiem, ale szczęście naszej córki jest chyba najważniejsze, prawda? Chcesz, aby ludzie wzięli nas na języki? By mówili, że ślubu i wesela nie będzie, bośmy biedni? – argumentowała Anna.
- Trudno... Nadszedł ten dzień. Jutro jadę do zamku ęckiego, sprzedam konia. Wesele Judyty musi się odbyć... – wyszeptał Bartłomiejczyk.

Przez całą noc Bartłomiejczyk nie zmrużył oka, żał było mu sprzedawać swojego ukochanego przyjaciela. Rano przyszykował konia do sprzedaży, wyczyścił mu grzywę i kopyta, ostatni raz nakarmił oraz napoił i wyruszył w drogę do zamku ęckiego.

Bartłomiejczyk nie ujechał kilku kilometrów, jak w gęstym lesie został otoczony przez grupę zbójców.

- O, jaki piękny koń – krzyknął jeden z opryszków – naszemu hersztowi bandy się przyda, będzie wyglądał jak jakiś król!

Dla Bartłomiejczyka był to najgorszy dzień w jego życiu, stracił konia oraz nadzieję na ślub swojej córki... Do domu wrócił po kilku godzinach, okrutnie zmęczony i zrozpaczony. Już w bramie wołała Anna:

- Mężu, co ci się stało? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył. A gdzie twoja sakwa z pieniędzmi, czy



zarządca zamku ełckiego okazał się oszustem?

- Żono kochana – prawie płakał Bartłomiejczyk – napadli mnie przed lasem ełckim gdy jechałem do miasta, banda zbójów wszystko zabrała... Nie lubi nas los, oj nie lubi, i skąd my teraz weźmiemy pieniądze na wesele naszej córki?
- Mężu drogi, nie rozpaczaj, najważniejsze, że zbóje ci życia nie zabrali... - pocieszała Bartłomiejczyka Anna.

Nadszedł wieczór, w domu Bartłomiejczyka i Anny panował smutek, bo nie było już szans na opłacenie wesele ich jedynej córki.

Aż tu rankiem, wielki rumor, do bramy ktoś się dobija, jakby żelaznym młotem walił w okucia, a tętent kopyt był tak wielki, jakby tabun dzikich koni przebiegał pod oknami. Bartłomiejczyk wstał i oczom nie dowierzał, oto przed nim przeżył się jego koń, który w nocy uciekł od zbójów i sam znalazł drogę powrotną do domu.

- Przyjacielu mój – weselił się Bartłomiejczyk – jak to się stało, husarku mój drogi!

Ale na tym dziwów nie było końca. Anna zdjęła wełniany płaszcz, który przyczepiony był do siodła, a tam, co za cuda? Płaszcz ciężki, jakby z najdroższego futra był zrobiony. Aż tu nagle z kieszeni płaszcza wyleciały złote talary...

- Widzisz mężu – krzyczała z radości Anna – a ty mówiłeś, że los nas nie lubi, zobacz ile złota!
- Żono – przekonywał Bartłomiejczyk – ale przecież te pieniądze są kradzione, zrabowane przez zbójców, nie możemy ich zachować...

I tak minęło kilka godzin, bo podobnej fortuny Bartłomiejczyk i Anna w życiu nie widzieli.

Następnego dnia Bartłomiejczyk pojechał do Ełku, aby zrabowane złoto oddać władzom, które szybko odnalazły obrabowanych w ełckim lesie. Ale i tutaj wydarzyła się rzecz niespodziewana, gdy Bartłomiejczyk wrócił do domu.

- Żono – krzyczał od bramy szczęśliwy Bartłomiejczyk – w nagrodę za to znalezione złoto dostaliśmy aż sto talarów, mamy pieniądze dla naszej córki! I sam zarządca zamku ełckiego prosi nas do siebie w gościnę, bo ślub będzie w zamkowym kościółku!

I trzy dni i trzy noce bawiono się na zamku ełckim. I było to najhuczniejsze wesele w historii Ełku.

